

I/376

ZA DOM, OJCZYZNĘ, ZESŁANIE - "NAGRODA":
OBYWATELSTWO ROSYJSKIE

Rodzice moi byli zamożnymi rolnikami. Mieli czterdzieści mórg ziemi. Mieszkaliśmy w kolonii Mazurskie Łany, pow. Brzeżany woj. Tarnopol.

W sobotę rano w dniu 10 II 1940r o godz. 6 - 7mej przyszło do naszego domu dwóch Ukraińców, których tato znał i dwóch żołnierzy radzieckich.

Żołnierze powiedzieli, że mamy ubrać się, stanąć pod ścianą i podnieść ręce do góry.

Mnie Ukrainiec wyprowadził z domu do obory. Kazał mi zaprzęgać konie. Robiłem co rozkazał.

Parę koni zaprzęgnąłem do sań, wróciliśmy do domu.

W mieszkaniu Rosjanie zaczęli popędzać, aby cała rodzina wyszła z domu i wsiadła do sań, bo przesiedlają nas na zachód. Zabronili cokolwiek zabierać z sobą.

Mama usiłowała tłumaczyć, że w dzieży ma przygotowane ciasto do pieczenia chleba. Może wyjedziemy kilka godzin później, abym mogła upiec chleb. W odpowiedzi usłyszała: "Na to nie ma czasu". Popędzali, by szybciej wychodzić.

Mama znów poprosiła żeby pozwolili wziąć dla dzieci dwie pierzyny i poduszkę. Zgodzili się.

Wyszliśmy z naszego domu:

Andrzej	Kostecki	ur.	?	ojciec
Józefa	Kostecka	"	?	matka
Leonarda	"	"	?	córka Andrzeja /siostra przyrod.
Leon	Kostecki	"	1912	syn Andrzeja i Józefy
Agnieszka	Kostecka	"	1919	córka " "
Olga	"	"	1924	" " "
Bolesław	Kostecki	"	1926	syn Andrzeja i Józefy /autor
Aleksander	"	"	1928	" " " wspomnień/
Maria	Kostecka	"	1932	córka " "

Wsiadliśmy wszyscy do sań. Ja jechałem końmi do stacji w Brzeżanach.

Na stacji załadowali nas do wagonów towarowych, z piętrowymi pryzkami, z dziurą w podłodze jako ubikacja. Były też dwa piece żelazne.

W czasie podróży na wyznaczonych stacjach wychodziło z wagonu pod konwojem dwóch mężczyzn po drzewo na opał. Przynosili również wodę do picia. Jeść dawali nam co drugi - trzeci dzień, wiadro zupy na trzydzieści osób. W wagonie było sześćdziesiąt osób, w tym dziesięcioro dzieci.

W wagonie był nasz sąsiad Pieprzyk lat około siedemdziesiąt. Mówił nam, że nie jedziemy na Zachód, ale na Sybir. Człowiek ten w czasie podróży stracił zmysły. Zgłaszaliśmy na stacji strażnikowi, ale nikt na to nie reagował.

Ubikacja - dziura w podłodze, była mała. W czasie podróży zatkała się. Prosiiliśmy aby dali nam siekierkę, to sami wyrąbujemy większy otwór. Niestety nie zgodzili się. W tej sytuacji odchody rozlewały się po całym wagonie.

Po kilku dniach dwie osoby rozchołowało się na tyfus. W innych wagonach też ludzie zaczęli chorować na tyfus. Z tego powodu zatrzymali cały pociąg na stacji /nazwy nie pamiętam/. Wszystkich ludzi z pociągu zaprowadzili do łaźni, a nasze ubrania dali do dezynfekcji. Pomieszczenie to przylegało do łaźni. W trakcie kąpieli zaczęliśmy się dusić od dymu. Okazało się, że to nasze ubrania spaliły się w dezynfekcji i stąd ten dym w łaźni.

Jesteśmy wszyscy goli bez ubrań. Czekaliśmy około trzy godziny i wreszcie przywieźli kufajki i spodnie watowane. Dorosłym osobom dawali spodnie i kufajkę. Dzieciom tylko kufajkę. Oczywiście nikt nie miał bielizny osobistej.

Tak ubrani wyruszyliśmy w dalszą podróż. Przed odjazdem dali nam jeszcze zupę.

Po kilku dniach, wysiedliśmy na stacji /nazwy nie pamiętam/ Wprowadzili nas do drewnianych baraków.

W baraku były do spania nary, ale nie starczyło dla wszyst-

kich. Ludzie spali na podłodze. Było nas bardzo dużo.

Dostaliśmy porcję rzadziutkiej zupy i kawałek chleba. Porcja mała. Jestem głodny. Jestem równocześnie przerażony ogromną ilością pluskw, które tutaj zobaczyłem. Łaziły po ścianach, podłodze.

Po trzech dniach znów do sań i w drogę po lodzie rzeką /nazwy nje pamiętam/. Jechaliśmy przez kilka dni. Zatrzymywaliśmy się na noc w pustych barakach, które były w pobliżu rzeki.

Na tę podróż dostaliśmy po kawałku chleba. Gorącą wodę już sami gotowaliśmy sobie w baraku.

Furmani, którzy nas wieźli, spali również z nami w tych zapluskwionych barakach.

Wreszcie dojechaliśmy do miejscowości Ciopsa, rejon Tułun, obłast Irkuck.

I znów do baraków, ale były nowo wybudowane. Z drewnianą podłogą, oknami. Pośrodku żelazny piec. Łóżka zbite z desek. W baraku było nas osiemnaście osób.

Po przyjeździe, dali nam wiadro i kazali iść do stołówki po zupę. Każdy brał dla swojej rodziny.

Następnie przydzielili nam pracę.

Siostra przyrodnia Leonarda oddzieliła się od nas, zamieszkała oddzielnie. Poszła do pracy w lesie. Dostawała jeden litr zupy i czterdzieści dekagramów chleba.

Brat Leon, siostra Agnieszka i Olga poszli również do pracy w lesie. Ja pracowałem w kopalni odkrywkowej. Wydobywanie miki. Tato nie pracował, miał już siedemdziesiąt lat. Mama, po wypadku jeszcze w domu, miała trudności w chodzeniu, więc też nie pracowała. Brat Aleksander miał dwanaście lat, a siostra Maria osiem. Nas czworo pracowało na utrzymanie rodziców i rodzeństwa. Czasem brat Aleksander pomagał mi zbierać trawę dla koni. Była to praca bardzo niebezpieczna. Trawa rosła na bagnach. Liście trawy były ostre, od zbierania jej bolały ręce. Za kilogram trawy można było dostać dwadzieścia kopiejek. Były to dodatkowo zarobione pieniądze. Możliwość kupienia dodatkowej zupy.

Tak żyliśmy przez dwa lata.

Na wiosnę 1943r powiedzieli nam, że możemy zmieniać miejsce zamieszkania i pracy, ale w tej samej okolicy. Zdecydowaliśmy się wyjechać.

Płynęliśmy tratwą przez trzy dni/ nazwy rzeki nie pamiętam/ Później pociągiem. Z nami jechało dużo Polaków.

Nas skierowano do wsi Opotno rejon Niżnoudińsk.

Dostaliśmy z całą rodziną barak - jedną izbę, kuchnię mieliśmy wspólną. Łóżka zrobiliśmy sobie drewniane. Poszliśmy do pracy w sowchozie.

Brat Leon pracował przy pracach polowych. Siostra Agnieszka pracowała w stajni przy krowach. Siostra, Olga kwalifikowała zboże na siew. Brat Aleksander woził wodę. Ja jeździłem trakto-rem, wykonywałem wszystkie prace polowe.

Mieliśmy kartki na chleb. Pracujący otrzymywali czterdzieści dekagramów chleba dziennie, a niepracujący trzydzieści dekagramów dziennie. To, co zarobiliśmy, z trudem starczyło na wykupienie przydzielonej żywności. Bielizny nie mamy. Chodzimy w kufajkach, które otrzymaliśmy w czasie podróży, kiedy nasze ubrania spaliły się w dezynfekcji.

Ukradłem kilka worków z sowchozu. Worki te farbowałem korą dębową, lub w łupinach z cebuli. Mama z tych worków szyła nam koszule, kalesony.

Radość nie trwała długo. Mimo, że worki były farbowane wydało się. Wezwali mnie do dyrektora sowchozu i zasądziłem na jeden rok więzienia w zawieszeniu.

Jesteśmy stale głodni. W nocy chodziłem pod sterty kraść zboże.

Z kłosów nakruszyłem ziarna i wracałem do baraku.

Brat Aleksander z kawałków części metalowych zrobił młynek i w nim robiliśmy śrutę. Mama ze śruty piekła placki lub gotowała mamąkę.

Całego zboża nie można było jeść, bo przechodziło niestrawione, a Rosjanie sprawdzali ubikacje. Jak w odchodach było całe ziarno, to karali te osoby, które pracowały przy zbożu.

Na wiosnę 1944r brat Leon, Agnieszka i Olga idą do wojska,

do Armii Berlinga. Zostaje nas pięcioro. Od tej pory ja muszę pracować na całą rodzinę. Brat Aleksander ciągle choruje na: malarię, czerwonkę, anemię.

Pracuję w sowchozie, jeżdżę na traktorze. Wyrabiam 150-200% normy. Sił mam coraz mniej.

Jednego dnia nie poszedłem do pracy. Dałem walonki do podszycia.

Wezwali mnie do sowchozu. Tłumaczyłem się, że nie mam sił pracować, jestem stale głodny.

Na miejscu odbył się sąd. Zostałem ukarany potrąceniem z pensji 25% przez jeden rok.

Zakazałem się. Postanowiłem wogóle nie jeść. Chodziłem do pracy, ale nic nie robiłem. Koledzy pracowali za mnie.

Mama widziała co się ze mną dzieje. Prosiła mnie, abym zaczął jeść, abym ich nie zostawiał.

Po pięciu dniach głodówki zebrałem resztki sił zacząłem pracować i jeść. Obiecałem mamie, że więcej nie będę myślał o samobójstwie.

Zacząłem pracować w lesie. Po czterech miesiącach powraca myśl o samobójstwie. Nie starcza mi sił tak ciężko pracować, a rodzina stale cierpi głód.

Kupiłem pół litra denaturatu, był bardzo tani. Wziąłem z sobą do lasu. Obmyśliłem, że po pracy jak koledzy odejdą do baraku ja denaturat wypiję i zostanę w lesie na zawsze.

Po pracy w lesie wszyscy odchodzą, ja zostaję niby zagasić ognisko, ale wiem że za chwilę zrealizuję swój plan - wypiję denaturat.

Koledzy zauważyli moje ociąganie się i chęć pozostania w lesie.

Zawrócili z drogi. Odebrali denaturat i dali kilka kuksańców. Przyprowadzili mnie do mamy. Opowiedzieli o wszystkim. Nawet przyznali się, że mnie zbili. Mama rozplakała się.

Ja po tym doświadczeniu zawzięłem się. Postanowiłem, że mimo wszystko muszę wytrwać. Powiedziałem mamie, aby się nie martwiła, bo już więcej tego nie zrobię.

Na wiosnę 1945r rodzice zachorowali na tyfus i zostali zabrani do szpitala. Drugiego dnia rozchorował się brat z siostrą, a ja trzeciego dnia.

Jak wchodziłem do szpitala, to tato powiedział: "Ity synu tutaj się znalazłeś". Tego dnia ojciec zmarł, ale ja dowiedziałem się dopiero po powrocie ze szpitala do baraku.

W szpitalu nie mieliśmy żadnego leczenia. Mierzono nam tylko temperaturę. Leżeliśmy na dużej sali z chorymi po operacjach.

Ze szpitala wyszedłem z mamą, siostrą Marią i bratem Aleksandrem.

W tym czasie jak my byliśmy w szpitalu zmarłego ojca pochowała siostra Leonarda.

Na drugi dzień po powrocie ze szpitala poszedłem do pracy w sowchozie. Jeździłem ciągnikiem. Wykonywałem wszystkie zleczone prace.

W maju 1946r dyrektor sowchozu Borys Anatolowicz zawiadomił Polaków, że możemy wracać do Polski.

Kierownik sowchozu dał nam furmankę i odwieźli nas do stacji. Na tej furmance była mama, brat Aleksander siostra Maria, Leonarda i ja.

Przed odjazdem swoją kufajkę oddałem koledze Rosjaninowi. Bardzo się ucieszył z tego prezentu.

Na stacji czekaliśmy dwa dni, bo cały czas zwozili ludzi. I znów do wagonów towarowych z pryzami i dziurą w podłodze. Ta podróż jest radosna, wracamy po sześciu latach głodu, morderczej pracy. Koniec tułaczki.

Przed odjazdem mieliśmy jeszcze jedno przykre przeżycie.

Na krótko przed wyjazdem zebrali Polaków i zawieźli do NKWD. Namawiali, aby przyjąć obywatelstwo rosyjskie. Trzymali nas przez dwa dni. Stosowali groźby, wyzwiska, ale nikt z Polaków, których znałem nie podpisał obywatelstwa rosyjskiego.

Pod koniec maja 1946r. przyjechaliśmy do Polski.

Za zgodność:

Bolesław Kostecki
Bolesław Kostecki
58-105 Swidnica
ul Kniewskiego 16/11

Swidnica 28 IM 1990

Wspomnienia spisała

Czesława Tarnawska
Czesława Tarnawska